

CI INNI LUDZIE, TUTAJ

Jak grać Masłowską? Dekret w tej kwestii pisarka wydała osobiście, obejrzawszy przed rokiem *Wojnę polsko-ruską...* w Teatrze im. Słowackiego. Nie pamiętam u niej, zawsze tak krytycznej wobec reżyserskich praktyk, równie żarliwej afirmacji. Co trochę niepokoi, skoro za chwilę przyjdzie z jej zachwytem nieco się jednak pokłócić.

Na przestrzeni ostatnich lat to moje najciekawsze przeżycie teatralne – mówiła „Wyborczej”. – Bo nagle zrozumiałam, na czym polegały błędy reżyserów w inscenizowaniu mojej twórczości. Ta interpretacja jest tak błyskotliwa i tak chytra. Paweł Świątek robi to wszystko poza tautologiczną dosłownością, idzie w abstrakcję – abstrahuje nie tylko od kontekstu społecznego, ale też od np. płci bohaterów. Wszystkie role są grane przez baby. I to daje kosmiczny efekt, bo koniec końców występuje sam język, wszyscy są tylko jego podwykonawcami, a gra on sam. To było olśnienie. Lata udręk reżyserów, którzy próbowali to wszystko udosłowniać, umieszczać w konkretnych realiach, wypadają pokracznie. Bo ten język jest fikcyjny, bałamutny.

– Czyli reżyserzy szli za pierwszymi recenzjami „Wojny...” sprzed lat, że to niby etnograficzny opis blokowiska? – dopytywał Witold Mrozek.

– Tak, pojawiały się flagi, dresy, bloki. A u Świątka nagle grają to jakieś takie książniczki jeżdżące powozami, a i tak totalnie wiesz, o co chodzi. Myślę, że gdy to było grane „na blokach”, miało się poczucie: znam takich gości, nic mnie to nie obchodzi. Sama nie wiedziałam, co mi się w tych spektaklach nie zgadza. I nagle zrozumiałam: reżyserzy dają się zwieść temu pozornemu realizmowi języka, podczas gdy on jest kreacją. Paweł Świątek znalazł do tego kluczyki.

Bo ja wiem, co znalazł? Widziałem *Wojnę polsko-ruską...* w Małopolskim Ogrodzie Sztuk i oglądając sześć kobiet, w różnym stopniu książniczkowatych, które, depcąc bezlitośnie połamie wypełniających scenę róż, gładzą półtorej godziny na okrągło o męskim matole imieniem Silny, dopieroż musiałem zwalczać przemożne poczucie, że nic mnie to nie obchodzi. Dorota Masłowska chyba dała się trochę nabrać, twierdząc, że tu występuje sam język, wszyscy są tylko jego podwykonawcami; tak ustawione przez

reżysera podwykonawczyni ów język w znacznym stopniu przecież relokowały. Niekoniecznie w sensownym semantycznie kierunku. Ale pal sześć: autorka radośnie akceptuje kształt swego utworu w teatrze, zdarzenie rzadkie, wypada ją grzecznie w stanie euforii zostawić.

Ważniejsze zdaje się coś innego: owo dobitne podkreślanie autonomii i kreacyjności języka. One przecież nie podlegają kwestii i są przedmiotem zasłużonych hołdów. Nikt rozsądny nie będzie dziś bzdurzył o magnetofonowym zapisie gadaniny marginesu; jest oczywiste, że literatura Masłowskiej to kunsztowny montaż ekscentrycznych zbitek słów, celowych niegramatyczności, rytmów wierszowych i rapowych, rozpędzanych i łamanych, przeróżnych ech, odbić, cytatów podbieranych z najrozmaitszych poziomów życia i winkrustowywanych w kompozycję. Każdy zgrzyt, każda skucha jest tu precyzyjnie zaplanowana, całość jest popisowym miksem językowego słuchu, społecznej wiedzy i świetnego panowania nad formą.

Aliści popisowość tego miksu jest jednocześnie największym jego obciążeniem, gdy ma się wrażenie, że upaja się sama sobą. Gdy gubi funkcjonalność. Miałem z tym kłopot przy lekturze *Innych ludzi*, wracałem po trzy razy do przeczytanego fragmentu, doceniałem rytm zdań, ekwilibrystyczną składnię – i łapałem się na tym, że już nie myślę o sensie obrazka. O celu, dla którego go narysowano. To wrażenie pogłębiła prapremierowa inscenizacja w TR Warszawa. Grzegorz Jarzyna jednoznacznie postawił na popis. Postawił trzy pionowe ekrany będące czymś w rodzaju maxismartfonów. Wypełnił je filmikami w estetyce wideoklipów tudzież scenkami aktorskimi miksowanymi na green boksach. I pognęła rąbanka minisekwencyjek, układająca się w opowiastkę o trzydziestoletnim pacanie, obsługującym seksem jedną niewyżytą z klasy średniej, której wpadł był w oko przy wymianie spłuczki. Owszem, były tam jeszcze inne osoby z jego i jej otoczenia, ale kreślone pospiesznie, łatwą, stereotypową kreską. Na dodatek z jakimś takim irytującym samozachwytem: ach, jakże gracko aktorzy TR-u, Marcin Czarnik, Agnieszka Podsiadlik, Maria Maj, Adam Woronowicz wchodzą w języ-

kowe i sytuacyjne kostiumy Masłowskiej, żonglują wirtuozowskimi kwestiami, łowią aplauz warszawskiej publiczności. Do głównej roli zaproszono Yacine'a Zmita, naturszczyka i rapera. On był fachowcem od rapu, oni fachowcami od szkicowania sylwetek, jakich wszyscy oczekiwali, obraz wirował w migającej, błyszczącej, fajerwerkowej formie. I od początku do końca nic na tej karuzeli nie bolało, nie kłuło, nie kazało na chwilę nawet przyhamować nad wykreowanym uniwersum.

Czytałem i słyszałem po prapremierze niechętnie uwagi obserwatorów z młodszych pokoleń mających za złe Jarzynie, że „statuś” i robi kokietliwy, pusty teatr. Nadto surowe zdały mi się te pretensje; szef TR-u nie jest, owszem, w uderzeniowej kondycji, ale gdy parę lat temu dał spektakl o czymś chyba naprawdę dla niego ważnym – *Męczenników* Mariusa von Mayenburga – to zebrał w opiniotwórczych kołach jeszcze większe cięgi. A biorąc z innej strony: konsekwencji i klasy formalnej (tudzież atrakcyjności we wcale nie ironicznym sensie słowa) jego najnowszej premierze odmówić niepodobna. Tylko ta ostentacyjna bezproblemowość bije w oczy. A co najprzykrzejsze, współwinowajczynią zdaje się tu jedna z najprzenikliwszych polskich pisarek.

Więc chwała Pawłowi Miśkiewiczowi, że ją z tego współsprawstwa poniekąd uwalnia poprzez własną adaptację *Innych ludzi* przygotowaną na dyplom IV roku Wydziału Aktorskiego krakowskiej Akademii Sztuk Teatralnych. Dyplomy mają swoje wymagania, każą na przykład dać pokazać się w miarę sprawiedliwie całej grupie¹. Pedagog musiał podjąć decyzję o wymienności ról, co znakomicie utraciło pokusy wcieleniowego czy dosłownego rysowania postaci. A język wziął na smycz. Zadbał, aby jego studenci, zachowując wariacką składnię i wszystkie kolorowe zgrzyty, mówili słowami utworu nie jak cytatem z obcych realiów, tylko jak własnym, uwewnętrznionym strumieniem świadomości. Logicznie uzasadnionym w każdej sekwencji. Oddającym stan psychiki bohaterów, a nie tylko ich, by tak rzec, przynależność klasową. Rap czy zabawy rytmem eksponowane były oszczędnie, tylko wtedy, gdy mogły się sensowi przysłużyć.

¹ Pisząc to, mimowolnie robię pewnej grupie krzywdę. Powstał drugi dyplom z *Innych ludzi* we wrocławskiej filii krakowskiej Akademii, reżyserował Maciej Stuhr. Powinienem je porównać. Nie zdążyłem zobaczyć (miał być na odwołanym Przeglądzie Piosenki Aktorskiej). Przykro mi.

I dostaliśmy w ten sposób – także przez jednorodną młodość obsady – zbiorowy portret bardziej pokoleniowy niż społeczny. Cóż z tego, że nie zostały wyeksponowane różnice między mieszkanką willi, która ciągnie do łóżka przystojnego robotnika, a owym kochankiem, który musi zdobyć *półtora koła* na dług w Playu, bo mu wyłączą, albo między facetem, który tak się zapamiętuje w parkowaniu z automatycznym asystentem (wjeżdżał i wyjeżdżał), że aż zapomina dojechać do czekającej kobiety, a chłopakiem wściekłym, że nie spotkał swojej dziewczyny w śródmieściu i musi dymać do niej na Wrzeciono, za dodatkowe trzy zeta na metro. Wyszło na to, że ich więcej łączy niż dzieli. Nade wszystko łączy ich życie jako zestaw czynności półautomatycznie powtarzalnych, w taniości, szajsie, ujadaniu wzajemnym, rzygach i smrodzie, z nędznymi przyjemnościami, jakąś kreską pokątnie wciągniętą, seksem na boku, kawałkiem koncertu czy beznadziejnym marzeniem o wydaniu płyty. Z ćmiącym, ćwierćświadomym poczuciem pustki, które w spektaklu ukazane jest jak przypadłość ludzi cierpiących, choć nie umiających tego cierpienia wyodrębnić i zdefiniować.

Nie ma tu nic z popisu. Nie ma scenografa, bo i nie ma dekoracji, jest tylko w bardzo ważnej roli kostiumolożka Hanka Podraza. Mamy prostokątne pomieszczenie z materacem-wyrem na środku, do tego pojedyncze rekwizyty, na przykład czarna kurtka, przedmiot dumy bohatera i jego wścieku, gdy się okaże, że podbierała mu ją siostra i ślad słodkawego *smrodu* perfum został na kołnierzu. (Tak, bo pod słowami są tu też takie smrody, a i na przykład lekko rzygliwe smaki *kebaba na cienkim*; młodzi aktorzy potrafią te sensualności celnie wydobyć). Mamy ponad trzygodzinną, mało błyszczącą i pozbawioną dopalaczy opowieść nie o żadnych, psiakrew, *innych ludziach* do oglądania w teatralnym show, tylko o *tych ludziach*, tu, doskonale znanych z ulic i tramwajów, barów i galerii. Pokazywanych bez nadmiernej empatii, która szłaby w tani sentymentalizm, ale ze zrozumieniem ich beznadziei. Co ważniejsze, bez śladu tego poczucia wyższości, które – choć przykrywane – było jednak ewidentnie największym grzechem warszawskiej inscenizacji.

A przy tym wszystkim krakowscy *Inni ludzie* wcale nie są dalecy od tej dekretacji Doroty Masłowskiej z początku. Pisarka chciała, żeby niczego nie udosławiać, nie wypychać w pozorny realizm i chwaliła Świątkę za pójście w abstrakcję. Miśkiewicz pomknął w stronę

dokładnie przeciwną, ale paradoksalnie znalazł się w tym samym miejscu (obszedł całą kulę ziemską?). Tak, język Masłowskiej gra tu należną główną rolę! Tylko gra, jak należy: w skupieniu, z dobrym rozpoznaniem celu, bez popisu i mizdrzenia, mądrze. I jest w tym wielki.

◆
Cztery dni po premierze świat się zatrzymał. Dziś już wiadomo, że zatrzymał się nie na chwilę. Myślę o tej dziesiątce studentów krakowskiej szkoły. Zrobili świetną robotę, a teraz nie wiedzą, kiedy będą mogli ją pokazać (i czy w ogóle: dyplomy mają krótki żywot). Nie wiedzą, jak wchodzić w zawód, stanęły próby, produkcje, castingi. Nie wiedzą, jak się spotkać z publicznością, na które to spotkanie byli już pięknie gotowi. Dobrze, kiedyś to wszystko ruszy i może nawet nie będzie całkiem inne; siła inercji bywa przemożna. Ale nikomu nie życzę takiego *w łeb*, jakie dostali na jednym z najważniejszych życiowych progów.

Jacek Sieradzki

Dorota Masłowska WÓJNA POLSKO-RUSKA POD FLAGĄ BIAŁO CZERWONĄ. Adaptacja, dramaturgia: Mateusz Pakuła, reżyseria: Paweł Świątek, scenografia i kostiumy: Marcin Chlanda, muzyka: Dominik Strycharski. Premiera w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie 2 marca 2019.

Dorota Masłowska INNI LUDZIE. Adaptacja, reżyseria, scenografia: Grzegorz Jarzyna, kostiumy: Anna Axer-Fijałkowska, muzyka: Piotr Kurek, Krzysztof Kaliski, reżyseria światła: Aleksandr Prowalinski. Prapremiera w TR Warszawa 15 marca 2019.

Dorota Masłowska INNI LUDZIE. Inscenizacja i opieka pedagogiczna: Paweł Miśkiewicz, kostiumy: Hanka Podraza, muzyka: Mateusz Bieryt, konsultacje choreograficzne: Magdalena Fejdasz. Premiera dyplomu IV roku Wydziału Aktorskiego Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie 7 marca 2020.

„Inni ludzie” Doroty Masłowskiej w TR Warszawa, fot. Marcin Oliva Soto

